

Unia Europejska à la Libanaise

18 maja 2015

– Oczywiście, że jestem Arabem – mówi libański nastolatek jednej z arabskich telewizji [1]. – To jasne, przecież jestem obywatelem Libanu.

– Ja? Arabką? – dziwi się jego koleżanka. – Nigdy w życiu! Kiedy słyszysz „Arabka”, myślisz „muzułmanka”. A przecież jestem chrześcijanką...

– Chwileczkę, Liban jest członkiem Ligi Arabskiej. Jak możemy nie być Arabami?

– Ale co to właściwie znaczy być Arabem?

– Jestem chrześcijanką, Libanką... Nie, raczej w tej kolejności: Libanką, chrześcijanką, jednocześnie Arabką... Czy może Fenicjanką?

– Religia nie ma związku z tym, kim się jest. Wiara to prywatna sprawa. A Fenicjan dawno nie ma na świecie!

– To kim ja w końcu jestem?

Spójrzmy na własne podwórko. Czy nasza Europa to wspólnota wielkich narodów czy federacja małych ojczyzn? No bo kim ja w końcu jestem: Polakiem, katolikiem, Słowianinem, a może Europejczykiem? Zamieńmy się na chwilę rolami. A co, gdyby to właśnie Liban posłużył jako przykład wielokulturowej federacji? Autentycznego pluralizmu, gdzie różnorodne tożsamości nie są powodem do wykluczania? Liban jako ponowoczesny projekt zdecentralizowanego państwa i to nie otoczonego unijnym ciepełkiem, ale w warunkach bojowych, gdzie narodowe i religijne hasła potężni sąsiedzi wypisują krwią na sztandarach.

Weźmy taki przykład. W Libanie mówienie kilkoma językami jest normą. Mało tego, nawet mieszanie ich w jednym zdaniu! A jak by to u nas wyglądało? Pani od polskiego nie podkreślałaby na czerwono „germanizmów” ani „rusycyzmów”, a ministrom spraw wewnętrznych nie przychodziłoby do głowy postulować wyrzucania uchodźców tylko dla tego, bo nie mówią „naszym” językiem.

Historyczka i publicystka Idith Zertal zauważa, że poddając krytyce ideę państwa narodowego, warto spojrzeć na kraje postkolonialne. Zamiast czekać, że będą nas naśladować i kiedyś wreszcie „dogonią” (czyli „dojrzeją” do bycia narodem z „przynależnym” mu terytorium na wzór Francuzów czy Polaków), lepiej uznać, że są inne scenariusze. Ba, istnieją tu i teraz – dla „nich” ale również dla „nas”. Trzeba tylko otworzyć oczy.

Proponuję, spójrzmy na Bliski Wschód od tej strony. Zamieńmy się na chwilę rolami: Unia Europejska à la libanaise.

FILARY PAŃSTWA

W Brukseli, Warszawie czy w Bejrucie stawiamy sobie podobne pytania: co poddać kontroli laickiego państwa, a co pozostawić autonomicznym grupom obywateli? Na czym oprzeć tożsamość narodową – na języku, konstytucji, wspólnocie terytorialnej czy może na wyznaniu?

– W Libanie każdy znajdzie miejsce dla siebie – ciągnie Raymound, szczególnie wygadany z grupy nastolatków. – Są maronici i prawosławni. Również protestanci, katolicy, unici, druzowie, sunnici, szyici, alawici, nawet Żydzi, są też – a jakże! – nacjonaliści, panarabiści, komuniści, liberałowie, a nawet, kto by pomyślał, ateści.

Jak rządzić, aby nikogo nie skrzywdzić? Ojcowie Republiki Libańskiej stanęli przed nie lada wyzwaniem. Konstytucja stanowi, że Liban to kraj niezależny, który gwarantuje wolność wypowiedzi i wyznania, sprawiedliwość społeczną oraz równość obywateli wobec prawa. Głównym celem ustawy zasadniczej jest

zapobiegać, aby jakakolwiek grupa narzuciła własny porządek. Regulacyjną rolę państwa sprowadzono do minimum. Stąd wzięły się swobody polityczne i ekonomiczne (większe, niż w niejednym kraju Europy), wolność mediów oraz kultury.

Drugim filarem libańskiego systemu politycznego jest tzw. Pakt Narodowy. Zawarty w roku uzyskania niepodległości (1943), nigdy nie został spisany. Porozumienie dwóch ambitnych mężów stanu, ówczesnego prezydenta Biszara al-Churi i premiera Rijada as-Sulh, jest wyrazem specyficznej wizji państwa. Zapewnia korzyści tradycyjnym liderom oraz poszczególnym grupom społecznym proporcjonalnie do ich liczebności i historycznej roli. Z konstytucjonalistycznego punktu widzenia godzenie ustawy zasadniczej i prawa zwyczajowego jest unikatem na skalę światową.

To prawda, że system nie zawsze się sprawdza. Ale kiedy zawodzi państwo, Libańczycy mają alternatywę – prosić o pomoc miejscowego lidera polityczno-religijnego. Lokalne wspólnoty z założenia nie są duże, więc jeśli dobrze poszperać, lider mógł się nawet okazać krewnym. Zaryzykuję śmiałą tezę: to dobrze. Owszem, kołesiosstwo nie zawsze promuje najlepszych. Jednak libańscy ojcowie założyciele uczą, że skoro nepotyzm i korupcja jest częścią każdego systemu, lepiej je integrować, niż walczyć z wiatrakami, łudząc obywateli, że można wygrać.

WOJNA I POKÓJ

– Okres 1975-1990 roku nazywany jest wojną domową, choć nic domowego w niej nie było. To tak, jakby lata 1939-1945 na starym kontynencie uznać za europejską wojnę domową – przekornie pisze na stronie internetowej pewne miejscowe NGO. Konflikt w Libanie pochłonął prawie 200 tys. ofiar, ok. 17 tys. nadal uchodzi za zaginionych. Proporcje są podobne, jak w krajach najciężej dotkniętych II wojną. Walki w Libanie miały charakter międzynarodowy. Obaj sąsiedzi, Syria i Izrael, odegrali rolę wielkich mocarstw i przez lata (nawet długo po wojnie) okupowali części kraju. Nadawali temu pozory „bratniej

pomocy” lub sojuszniczych „gwarancji bezpieczeństwa”.

Europa, podobnie jak Liban, boryka się ze swoją tragiczną przeszłością. Co zrobić z takim dziedzictwem?

Obce wojska znajdowały w Libanie wrogów, ale i zwolenników. Niektórzy uważają np., że Izrael to naturalny sprzymierzeńca Bejrutu. Przecież państwo żydowskie, argumentują, stanowi ewenement w regionie, jego tradycje sięgają starotestamentowych proroków. Podobnie Liban: tu Jezus dokonał pierwszego cudu, mieszkańcy w prostej linii wywodzą się od Fenicjan, a ich ojczyzna jest enklawą chrześcijaństwa. Dwa niewielkie kraje łączy wspólna misja. Powinny ramie w ramie stawiać czoła otaczającym ich hordom barbarzyńców.

– Jesteśmy świętymi demonami Wschodu – mówił na jednym z wieców libański prezydent-elekt z 1982 r., Baszir Dżumajjil, falangista. – Zniszczymy go, jeśli ktoś spróbuje nas skrzywdzić. Ale możemy go też oświecić, jeśli nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Prezydent-elekt był kolegą Ariela Szarona (dla przyjaciół Arika). W tym czasie wojska tego ostatniego zajęły właśnie pół kraju i okupowały Bejrut. Mimo to, a może właśnie dlatego, Baszir gotów był zawrzeć pokój z Izraelem. Ale historia potoczyła się inaczej. Budynek, w którym przemawiał tuż przed zaprzysiężeniem, wyleciał w powietrze.

Tymczasem dla wielu Libańczyków myśl o wspólnej misji z Izraelem była niczym najczarniejszy koszmar. Chętnie natomiast widzieliby zacieśnienie stosunków ze wschodnim sąsiadem. Syryjskich żołnierzy, którzy „interweniowali” w 1976 r. (czyli zaraz na początku wojny) i potem „zasiedzieli się” prawie 30 lat, postrzegali jako gwarantów pokoju i bezpieczeństwa.

Czasy się zmieniły, dziedzictwo pozostało. Jak pisać wspólną historię? Można tworzyć kolejne komisje podręcznikowe i fundacje promujące pojednanie. Jednak zachodzi podejrzenie, że to syzyfowa praca: ktoś zawsze będzie poszkodowany. A może

historia wcale nie musi być wspólna? Kiedy w 2005 r. wybuchła tzw. cedrowa rewolucja i Damaszek wycofał swoje wojska, odbyły się dwie demonstracje. Na jednej setki tysięcy ludzi świętowały koniec okupacji. Kilka ulic dalej, w czasie równie licznego wiecu, dziękowano Syrii za pomoc w uratowaniu kraju od chaosu. Czy to nie pluralizm, którego rozmachu próżno szukać w naszych szerokościach geograficznych? Bo wyobraźmy sobie dwie demonstracje w Warszawie, jedną na Placu Piłsudskiego, a drugą przed Pałacem Kultury. Jest 1993 rok. Wokół Pałacu miliony ludzi fetują armię rosyjską, kilkaset metrów dalej tyleż samo świętuje jej ostateczne wycofanie.

CYNIZM PRZEDSTAWICIELI NARODU

Kryzys reprezentacji politycznej to temat wałkowany w Europie od dawna. Tyle że z gadania niewiele wynika – przeciwnie, problemy narastają. Może zatem warto zmienić paradygmat?

W wywiadzie dla miesięcznika Playboy (7/1984) jeden z ówczesnych przywódców lewicowego frontu, jednocześnie lider libańskich Druzów, odsłonił kulisy konfliktu. Rozmowę z Walidem Dżumblattem przeprowadzono w przerwie obrad międzynarodowej konferencji pokojowej.

– To wielka ściema – mówił polityk. – W Genewie jestem dla pozorów. (...) Powiedziałem, że jadę negocjować pokój i bezpieczeństwo. Nota bene, w naszej sytuacji to niekoniecznie to samo. Bywa, że musisz oszukać własnych ludzi. Prawdy i tak by nie zrozumieli.

Zapytany czy lubi walczyć, przyznał: – Tak. Zabijanie mnie pociąga. Zresztą to część moich obowiązków. Muszę być lojalny wobec tych, którzy za mnie umierają. Druzowie są jak niewielka rodzina. Nie mogę powiedzieć, żegnaj panów, jadę do Las Vegas. (...) Z drugiej strony nie da rady oddzielić Libanu od reszty Bliskiego Wschodu. (...) Każda ze stron ma pomocnika. To dzięki nim są pieniądze, broń i amunicja. (...) Były czasy, że finansowała mnie Libia. Ale ostatnio Tripolis zakręcił kurek.

Teraz szukam alternatywy.

Udało się. Wojna trwała dalsze sześć lat.

– Wasz kraj jest dla mnie trochę jak sen – dodał polityk, zwracając się do zachodniego dziennikarza. – Fajnie jest żyć we śnie. Ale przecież wasze życie też jest okrutne. (...) My jesteśmy otwarci: zabijamy się wprost. U was umiera się powoli.

Walid Dżumblatt do dziś zasiada w libańskim parlamencie. Zgadza się, jest cynikiem, jakich mało. Ale czyż odwaga, z jaką opowiada o kulisach polityki, nie jest godna podziwu? Zaryzykuję następującą tezę: lepiej, aby nasi posłowie też ją mieli. Przynajmniej nikt by nie robił z nas idiotów, którzy żyją niczym we śnie. Może szczerłość polityków, choćby taka do bólu, pomogłaby odbudować zaufanie w system?

PRZEKLĘTE GRANICE

Idea narodu jako wspólnoty etnicznej na „przynależnym” jej terytorium to pomysł zrodzony z ducha europejskiego romantyzmu. Choć przedstawiciele tego nurtu uchodzą za, delikatnie rzecz ujmując, oderwanych od rzeczywistości, państwo narodowe awansowało do „miary wszechrzeczy”. Kto kwestionuje przebieg granic w Europie trafia na polityczny margines. Czy słusznie? Doświadczenia Libanu są w tej mierze niezwykle pouczające.

– Granice należy wyznaczać tak, aby łatwiej było podburzać jedno państewko przeciwko drugiemu – powiedział Francuski generał Gouraud, Wysoki Komisarz do spraw Lewantu w latach 1919-1923. Generał, zasłużony w wojnach kolonialnych na przełomie XIX i XX wieku, u kresu I wojny światowej wsławił się błyskawiczną pacyfikacją Alzackiej Republiki Rad. Jako komisarz reprezentował imperialne interesy europejskich mocarstw. To on stłumił arabskie walki narodowo-wyzwoleńcze i wedle własnego widzimisię decydował o losach nowych poddanych. Granice wyznaczone zgodnie z jego zasadą są do dziś

przekleństwem Świata Arabskiego.

A konkurencyjnych pomysłów było sporo. Twórca jednego z nich był szczególnym pechowcem: po latach partyjnej pracy u podstaw zdecydował się zorganizować przewrót. Był koniec lat czterdziestych. Akcja miała być impulsem do radykalnych zmian w całym regionie. Ale historia potoczyła się inaczej. Po spektakularnej klęsce Antun Saadeh stanął przed libańskim plutonem egzekucyjnym. Zgodnie z ówczesnym zwyczajem kazano mu uklęknąć.

– Coś mi się wbija w kolano. Mogę to usunąć? – zapytał.

Żołnierz podszedł, wygrzebał kamień i uklepał ziemię. Potem padły strzały.

Antun był przedwojennym działaczem niepodległościowym. Sprzeciwiał się kolonialnej dominacji Francji oraz postulował inną Syrię, niż ta, którą wyrysowali na mapie Anglicy i Francuzi. Chodziło o tak zwany Żyzny Półksiężyc. Jego naturalnie ukształtowane granice obejmują dzisiejszy Liban, Syrię, część Jordanii, Synaj oraz Irak z Kuwejtem jak również Cypr. Sprawne państwo to nie tylko dobre prawo, ale i wspólna historia oraz podobne zwyczaje mieszkańców.

– Ojciec na własnej skórze przeżył okrucieństwa pierwszej wojny światowej – wspominała jego córka. – Już w młodości nurtowało go pytanie, dlaczego rodacy cierpią niewolę i nędzę. (...) Jednocześnie nigdy nie zaniedbał rodziny. Tata bardzo nas kochał. Mimo zajęć znajdował czas, aby akompaniować mi na koncertach. Był miłośnikiem muzyki, pamiętam, jak wyśpiewywał arie przy goleniu.

Partia przetrwała śmierć założyciela, ale straciła masowy charakter. Część zwolenników zradykalizowała się długo przed modą na okrucieństwa islamistów. To właśnie z jej szeregów wyszedł zamachowiec, który zabił Baszira – elekta od pojednania i kumpelskich stosunków z Sharonem.

Oczywiście to żadna nowość, że granice są wypadkową mocarstwowych ambicji i wojennych gier. Nie tylko na Bliskim Wschodzie, ale także w Europie. Jaki z tego wniosek? Ludzi mieszkających w tak powstałych państwach niewiele musi ze sobą łączyć. Kto postuluje wspólnotę w przypadkowych granicach jest niebezpiecznym marzycielem. Albo zamordystą. W Libanie dobrze to wiedzą. A u nas?

WOJSKO I PARTYZANTKA

Wojsko jest w Europie tematem wstydliwym. Defilady wzbudzają wśród obywateli tyleż podziwu co zażenowania. Choć żyjemy w przekonaniu, że armie starego kontynentu są jedne z najlepszych na świecie, to zabijanie jest prawie tematem tabu, a śmierć choćby kilku własnych żołnierzy potrafi zachwiać najbardziej popularnym rządem. Wojna na Ukrainie objawiła przed nami bolesną prawdę: w razie inwazji zielonych ludzików ze Wschodu (odpukać!) nie podołamy. Czego uczy nas w tym względzie Liban?

W 2006 roku wybuchła kolejna wojna, w której Siły Obronne Izraela wkroczyły na terytorium Libanu. Oprócz bomb i pocisków, na kraj spadło 17 milionów ulotek. Oto tekst jednej z nich:

„Do mieszkańców Bejrutu! Przeczytajcie to uważnie i zastosujcie się. Terrorystyczny gang zwany Hezbollah prowadzi barbarzyński ostrzał rakietowy Państwa Izrael. Biorąc to pod uwagę, a także odnosząc się do ostatniego oświadczenia przywódcy bandy, Siły Obronne Izraela obejmują działaniem przedmieścia Bejrutu. Mieszkańcy! Dla waszego bezpieczeństwa opuście swoje domy! Nie zwlekajcie! Wezwanie obejmuje okolice, skąd atakują terroryści i ich poplecznicy. Uwaga! To nasilenie przemocy z ich strony doprowadziło do zdecydowanej reakcji Sił Obronnych Izraela. Uprzedzamy: ucierpią wszyscy bez wyjątku, nie tylko banda Hasana i związani z nią przestępcy.”

Kilka lat wcześniej, szejik Hasan Nasrallah udzielił wywiadu

libańskiej telewizji [2]. Na temat południowej granicy i Ruchu Oporu (tak wielu Libańczyków nazywa zbrojne ramię Hezbollahu) powiedział:

– Wysyłanie Libańskich Sił Zbrojnych na granicę z Izraelem nie służy ojczyźnie. W obecnej sytuacji jest nawet odwrotnie, sprzyja interesom wroga. Zastanówmy się nad rolą armii. – Szejk to doskonały mówca. Logika wywodów jest wzorowa, język sięga po literackie bogactwo arabskiego pozostając bliski ludziom. – Zadaniem armii jest ochrona granic. Jeśli na niebie pojawią się izraelskie samoloty, wojsko powinno zareagować. Kiedy na nasze terytorium wtargną izraelscy żołnierze, trzeba stawić im czoła. Tu pojawia się problem techniczny, który nie ma z polityką nic wspólnego. Czy nasze wojsko może sprostać temu zadaniu? Załóżmy, że rozmieszczamy armię na granicy i powierzamy jej obronę. Liban nie posiada samolotów. Nie mamy też artylerii przeciwlotniczej. Jednocześnie nasze wojsko ma charakter konwencjonalny. Posiada czołgi i działa, stacjonuje w koszarach. Co to znaczy? Niestety, lotnictwo izraelskie zniszczy je w kilka godzin. (...) Z ruchem oporu jest inaczej. I nie chodzi o to, że partyzanci są odważniejsi niż żołnierze. Po prostu, (...) jego taktyka jest inna. Nasza obecność na granicy tworzy rodzaj przeciwwagi.

Polityk ma rację. Inaczej niż jego nadwiślańscy koledzy, nie robi rodakom złudzeń, że, powiedzmy, zwiększenie wydatków na armię daje szansę zwycięstwa w razie inwazji zielonych ludzików. Śmiałych też jest w tym wypadku kilka. Weźmy jedną z nich: Posyłanie żołnierzy na śmierć w obronie ojczyzny to prezent dla wroga. Kto chce walczyć za kraj, może wstąpić do partyzantki. Z ruchem oporu nawet najlepsze armie świata mają pod górkę. Przecież wojskowi zrzucają ulotki tylko wtedy, gdy czują się niepewni swoich karabinów. Może więc zamiast zwiększać wydatki na zbrojenia zaoszczędzimy pieniądze na lepszy cel?

UCHODŹCY

Przyjmuje się, że w niespełna czteromilionowym Libanie schronienie znalazło około pół miliona uchodźców z Palestyny. Od czasu wybuchu wojny domowej w Syrii doszło niespełna dwa miliony nowych. To tak, jakby w przeciągu ostatnich trzech lat do Polski trafiło 20 milionów ludzi. Jak „oni” sobie z tym radzą?

– Jestem z Gazy, ale urodziłam się i wychowałam w obozie na północy Libanu – opowiada mi młoda psycholożka, pracowniczka pomocy społecznej.

Palestyńczycy trafiali do Libanu falami. Pierwszy raz pod koniec lat czterdziestych, potem z każdą kolejną wojną na Bliskim Wschodzie. ONZ wspólnie z rządem w Bejrucie urządzili dla nich tymczasowe obozy. Część pojechała dalej, ale wielu zostało. Obozy zamieniły się w miasteczka i przetrwały do dziś. Niekiedy mieszka w nich już czwarte pokolenie.

– Tata tu się ożenił – mówi psycholożka, – reszta rodziny została tam. Palestynę i Liban łączy ta sama kultura, ale różnimy się, jakby to nazwać?, stylem. Mój jest palestyński i jednocześnie libański, w tym sensie inny niż w Gazie czy powiedzmy w Ramalah.

– Gdzie jest twoja ojczyzna?

– Gaza to moje miejsce na ziemi. Problem polega na tym, że nie mogłabym tam żyć. Może to paradoks, ale choć Gaza to moja ojczyzna, jestem z Libanu. Wielu z nas odczuwa podobnie: ojczyznę nosimy w sobie. Ale tu pracujemy, mamy przyjaciół, tu jest nasz dom.

Pojawienie się uchodźców syryjskich to dla Libanu gigantyczne wyzwanie. Rząd w Bejrucie, pomny błędów z Palestyńczykami, nie chciał zakładać obozów. Jednak kryzys przerósł wszystkich. Dziś, przede wszystkim na wschodzie i północy kraju, roi się od gigantycznych pól namiotowych.

– Większość uchodźców przekroczyła granicę nielegalnie –

wyjaśnia mi szef libańskiego oddziału NRC, jednej z największych międzynarodowych organizacji pomocowych. – Obowiązuje zasada, że jak nie masz ważnych papierów, możesz mieszkać w obozie, ale nie poruszać się po kraju. Poza tym w Libanie od zawsze zatrudniano syryjskich pracowników sezonowych. Znajdziesz ich wszędzie: w budownictwie, gastronomii, rolnictwie. Kiedy kończy im się wiza, powinni wrócić, aby ją odnowić. Tylko dokąd mają wracać?

Sytuacja daleka jest od ideału. Prawo emigracyjne nie nadąża za rozwojem wypadków, tarcia wewnętrzne są ogromne. Uchodźcy pozbawieni są wielu praw (ale czy u nas w Europie nie są?). Jednak kraj cały czas funkcjonuje normalnie. Transport, szkoły, zaopatrzenie działają podobnie, jak przed kryzysem. A my, czy w razie katastrofy pod naszą granicą, poradzilibyśmy sobie z czterdziestoprocentowym wzrostem ludności? Śmiem sądzić, że byłoby z tym kłopot. Aby daleko nie szukać, w Dreźnie nie radzą sobie z niecałym 0,4% procenta (tyłu uchodźców mieszka w tym mieście). Może zatem warto brać przykład z innych, nawet jeśli byłby to, przepraszam, że się powtarzam, Liban?...

OSIEMNAŚCIE KODEKSÓW CYWILNYCH

Na koniec proponuję lżejszy temat: śluby. W Libanie prawa cywilne stanowi grupa religijna, do której formalnie należy obywatel. W kraju zarejestrowanych jest osiemnaście wyznań. Teoretycznie istnieje więc tyleż kodeksów cywilnych. To się nazywa poszanowanie (cudzych) obyczajów!

Poszanowanie ma swoją cenę. Weźmy taki przykład: w Libanie, nawiasem rzecz biorąc podobnie jak w Izraelu, nie istnieją śluby cywilne. Obywatele obu krajów, jeśli krępują ich wyznaniowe regulacje, jadą na Cypr. Zawierają małżeństwo, a po powrocie rejestrują swoje związki. Organizacja takich podróży to osobny segment na turystycznym rynku. Zgoda, nie jest to może rozwiązanie idealne. Nie odpowiada też europejskiej wizji laickiego państwa. Czyżby tym razem przykład Libanu był raczej

negatywny?

Wiosną 2013 roku zdarzył się ciekawy precedens. Pewna para wzięła ślub cywilny zgodnie z libańskim prawem. Jak to możliwe? Dura lex sed lex. Okazało się, że obywatel może formalnie rzec się przynależności religijnej. Czy nadal chodzi na modlitwę i dokąd, nikogo nie interesuje. W ten sposób określa tylko, jak chce, aby go traktowało państwo. A o ile brakuje libańskich przepisów, obowiązuje francuski kodeks cywilny. Para złożyła odnośną deklarację. Wykreślono im wyznanie z dowodu osobistego i świeckiej ceremonii nic nie stało na przeszkodzie.

Dlaczego nikt wcześniej nie korzystał z tego prawa? Krytyków powoływania się na religijne wartości budując Europę zaciekać może, że świeckie regulacje bywają społecznie niepożądane. Starsza siostra Raymounda tak mi tłumaczyła sytuację:

– Słyszałam, że tamta para wzięła potem ślub kościelny. Może to plotka. Tak czy inaczej, nie chciałam z mężem wykreślać wyznania z dowodu. Każda wspólnota ma na przykład inne prawo dziedziczenia. O ile brakuje testamentu, u sunnitów kobieta dziedziczy jedną trzecią majątku, a u szyitów po równo. Nie ma niespodzianek, każdy wie, jak to działa. Rodzice, krewni, ktoś w razie czego pomoże. W ten sposób czuję, że gdzieś przynależę. A tak? Wiesz, gdzie jest urząd stanu cywilnego? Ja nie! – rzuciła, zanim zdążyłem odpowiedzieć. – Urodzę dziecko i gdzie je zarejestruję? A przede wszystkim, nie chcę, aby potem pytało: to kim ja w końcu jestem?...

Autorstwo: Jan Subart

Źródło: Monde-Diplomatique.pl

O AUTORZE

Jan Subart to pseudonim Stanisława Strasburgera. W tekście znalazły się fragmenty jego najnowszej książki „Opętanie. Liban”, która ukaże się nakładem PIW-u w maju br. Przed rokiem wyszedł w Bejrucie arabski przekład powieści Subarta „Handlarz

wspomnień". Autor mieszka na przemian w Kolonii, Bejrucie i w Warszawie.

PRZYPISY

[1] Fragment w oparciu o film dokumentalny Hady Zaccak, „Lekcja historii”, Al-Jazeera Documentary Channel, Katar 2011, 51 min.

[2] Film dokumentalny „Libańskie Partie Polityczne: Hezbollah”, National Broadcasting Network, Liban 2003, 180 min.